



PRAWDA O PRZYJACIELU

Napisał: Andrzej Drzewiński

Ilustrowała: Jolanta Przędziecka

Serwetka spadała ociężale, lekko wirując. Jeszcze moment i znikła kryjąc się pod koją. Bert śledził ją, a gdy wzrok spotkał się z krawędzią pościeli, złożył policzek na podglówku. Było mu gorąco. Grube krople potu ześlizgiwały się z czoła, aby później wsiąknąć w gąbkę pod głową. Od wczoraj trawiła go gorączka. Nigdy nie lubił chorować, ale tym razem coś innego niż zazwyczaj było tego przyczyną. Zastawiono na niego pułapkę, która miała zabić, lecz tylko go unieszkodliwiła. Na myśl o tym palce kurczowo ścisnęły materiał.

– Uspokój się – szepnął do siebie. – Musisz myśleć – dodał po chwili, kładąc się na wznak.

Wzrok padł na cyfry świecące na suficie. Usztywnił się, gdyż uświadomił sobie, że tamten zaraz przyjdzie. Był punktualny jak zegarek, cholerny pedant. Przychodził do niego co godzinę. Tak samo regularnie jak wtedy, gdy pracowali razem.

„Ciekawe – pomyślał – jak ta cała praca jest mi teraz obojętna”.

Myśl ta o tyle była dziwna, że każde wspomnienie, które przywoływał z pamięci, w mniejszym bądź w większym stopniu kojarzyło mu się z jego pracą. Problemem cząstek Lambo zajął się już na studiach. Pierwsze prace z zakresu fizyki jądra, czy późniejsza

teoria cząstek pierwotnych, będąca swojego czasu dużą sensacją, były zawsze podporządkowane jednemu: hipotetycznym cząstkom Lambo. Tylko dlatego odleciał do tej samotnej bazy księżycowej, położonej tam, „gdzie diabeł mówi dobranoc”, jak to sam określił. Co prawda nie miał pojęcia, co diabeł może porabiać tu, na Księżycu. Jednak warunki były idealne. Świetna aparatura, pozostawiona w spadku po rozwiązanej niedawno fundacji „Polex”, nie miała na Księżycu równej sobie. Można było powiedzieć, że Bertowi nic do szczęścia nie brakowało i pełen zapału powinien prowadzić swoje poszukiwania. Niestety! Los nie przepuścił okazji, aby i teraz z niego zadzwic. Uczynił zaś to, umieszczając na jego bazie docenta Olafa Bote. Został on tu przysłany przez Komisję Nauki twierdzącą, że ma równie znaczne osiągnięcia w dziedzinie cząstek pierwotnych, jak Bert. Osiągnięcia! Dobre sobie. Nawet teraz, gdy o tym pomyślał, uśmiechnął się szyderczo. Ponury ignorant, a nie naukowiec, jak go zawsze określał. Miał z nim kiedyś na kongresie w Chicago przykrą polemikę, po której uświadomił sobie swą niechęć do tego człowieka. Niestety sam Bert również był uzależniony od Komisji Nauki i jego osobiste animozje nie miały najmniejszego znaczenia. Pracę w bazie rozpoczął od dokładnego wytyczenia hormonogramu zajęć, który ułożył z racji nieoficjalnie pełnionego kierownictwa. Nie da się ukryć, że jedynym zadaniem hormonogramu było takie ustawienie zajęć, aby jak najmniej czasu spędzali wspólnie. Na dobrą sprawę, poza porami posiłków i zmian posterunku w laboratorium, wcale się nie widzieli. Z początku Olaf próbował się buntować, ale Bert grzecznie, aczkolwiek stanowczo dał mu do zrozumienia, że nie życzy sobie nawet wspólnych rozmów. Już po tygodniu w bazie pracowało dwóch zupełnie obcych sobie ludzi. Jedynie kiedy ci z Centrum przywozili im co miesiąc żywność i tlen, Bert udawał, że on i Olaf to dwaj wspaniali kumple. Robił to świadomie, chcąc mieć alibi, gdyby przypadkiem Olafowi przyszło do głowy złożyć na niego raport w Komisji. Ale sądząc z usposobienia Olafa, obawy Berta były najzupełniej bezpodstawne. Mijały dni i ty-

godnie monotonnie i nudnie. Do momentu, kiedy na jednym ze zdjęć ujrzeli białą, rozgałęzioną ścieżkę, będącą bez wątpienia śladem cząstki Lambo. Było to właśnie wczoraj, dwie godziny przed wybuchem...

Szmer rozsuwanych drzwi przerwał mu rozmyślenia. Kątem oka dostrzegł sylwetkę Olafa, ale nie zdobył się na uniesienie głowy. Przymknął powieki. Chwila ciszy i już czuł obecność tamtego przy sobie. Pewnie się wahał, co powiedzieć, i to sprawiło Bertowi spore zadowolenie. Dotknięcie, które poczuł na ramieniu, uderzyło go, jak impuls prądu. Nie spodziewał się tego i zaskoczony otworzył oczy. Twarz Olafa była blada i niestaranie ogolona. Tylko oczy błyszczały na podobieństwo kropel rtęci czy ostrza noża.

– Cześć, Bert – usłyszał. – Zdaje mi się, że lepiej wyglądasz.

– Masz rację – chrypnął wysuszonym gardłem. – Zdaje ci się.

Czoło Olafa, zwykle gładkie, pokryły zmarszczki. Cóż, spalił kolejne podejście. Bert poczuł lekkie zażenowanie.

– To nieważne – głos jego miał być łagodny. – Co wynioskowało Centrum z moich analiz?

– Centrum? – Olaf jakby się zdziwił, ale zaraz odpowiedział normalnie. – Mówią, że do jutra możesz kurować się tutaj. Podali mi przepis na specyfik, który postawi cię na nogi. Właśnie teraz go syntezuję – machnął ręką w kierunku, gdzie było laboratorium chemiczne.

– A co powiedzieli o tym, czym mnie od wczoraj szpikujesz? – przerwał lekko podnosząc głos.

– Pochwalili mnie i kazali dalej ci to dawać. Jutro, jak przylecą z nowym zbiornikiem, to wracając wezmą cię do Centrum. Zresztą, jak wiesz, miałem kurs medyczny i możesz mi zaufać – mówiąc mrugał, jakby coś mu wpadło do oka.

Bert nie patrzył teraz na Olafa, tylko na ścianę za jego plecami, wiedząc, że tamtego to denerwuje. Starał się jednocześnie nie pokazywać, jak mu przeszkadza ta ciężkość w żołądku i kłujący ból głowy, który się właśnie pojawił. Po chwili uderzył w najsłabsze, jak sądził, miejsce.

– Stwierdziłeś już, co było przyczyną wybuchu zbiornika? – spytał, przeciągając sylaby w słowie „przyczyna”.

Olaf jakby szerzej otworzył oczy.

– Nie wiem, mówiąc szczerze – odparł. – Sądzę, że przedziwnym zrzędzeniem losu mikrometeoryt przebił pancerz, wywołując przy tym iskrzenie, co przy ciśnieniu tej mieszanki wywołało eksplozję.

Teraz Olaf patrzył się w ścianę, uciekając wzrokiem. Lecz Bert nie pozwolił mu umknąć.

– To jest praktycznie niemożliwe – rzucił sucho.

– Wiem – odparł Olaf. – Ale w końcu coś musiało być przyczyną.

„To, że chciałeś mnie utłuc, zazdrosny draniu!” – chciał krzyknąć Bert, ale skończyło się na słowach:

– Nieważne. Rób zastrzyk.

Olaf zrobił ruch, jakby chciał uściśnąć mu ramię, ale powstrzymał się, mówiąc:

– Szkoda, że akurat wtedy musiałeś przechodzić tym cholernym korytarzem.

– Tak – potwierdził Bert, patrząc mu w oczy. – Wielka szkoda.

Olaf wyglądził dłonią nie istniejące fałdy rękawa i podszedł do stoliczka z medykamentami. Wyjął wstrzykacz i pudeleczek z ampulką. Gdy przelewał do wstrzykacza płyn, co przy tej grawitacji jest zawsze utrudnione, opakowanie położone uprzednio na krawędzi szafki upadło na podłogę. Bert nie omieszkiał tego zauważyć. W przeciwieństwie do niedawno jeszcze używanych strzykawek, wstrzykacz był bezbolesny, tak że poza dotknięciem zimnego metalu nic nie poczuł. Gdy Olaf chciał znów przykryć go kocem, wstrzymał mu rękę. Olaf popatrzył na niego, a potem, wędrując za jego wzrokiem, na odkryte teraz nogi.

– Chyba zwariuję, jeśli się okaże, że nigdy nie będę mógł chodzić – powiedział Bert, głośno przetykając ślinę.

Ręce Olafa ządygotały, aby potem spazmatycznym ruchem przykryć chorego. Usta mu drgnęły, ale Bert go ubiegł.

– Chcesz powiedzieć, że taki paraliż jest tylko okresowy?

Olaf zacisnął wargi i dopiero, gdy stanął przy drzwiach, odpowiedział:

– Tak. Właśnie to chciałem powiedzieć – głos był dobitny, jak na Olafa, ale Bert nie zdążył już nic odpowiedzieć, gdyż tamten wyszedł. Pokój znów był pusty, jeśli nie liczyć jednego sparaliżowanego człowieka.

Bert wyprostował się i odetchnął głębiej, gdyż przez moment poczuł w nosie zapach wczorajszego podmuchu. Wiedział, że przyczyną desperackiego kroku tamtego była zazdrość i chęć wyłączności do sławy odkrywcy. Jednocześnie czuł, że w tej chwili już mu nic nie grozi. Tak jakby tamten cały zapas swej minimalnej odwagi wyczerpał wtedy, kiedy chciał go wysadzić w powietrze, a konkretniej – w powietrzu ze zbiornika. Uśmiechnął się sarkastycznie, wymyślając tę grę słów. Nagle coś sobie przypomniał i uniósł się na łokciu, aby to sprawdzić. Opakowanie leżało obok ściany. Zmrużył oczy, ale z tej odległości nie potrafił czegokolwiek odczytać. Łokciami i całym ciałem przesunął się do krawędzi. Odpoczął moment, a potem wyciągnął rękę najdalej jak tylko mógł. Głowę miał zwróconą ku górze, tak że dotyk musiał zastąpić mu wzrok. Drapiąc o wykładzinę dotknął, a później chwycił w palce tekturkę. Dobrze, że ważył sześciokrotnie mniej niż na Ziemi. Z zaciśniętą na zdobyczy dłonią ułożył się w poprzedniej pozycji. Gdy migające przed oczyma plamy uspokoiły się, przeczytał tekst.

„Tipexocord” środek powodujący lokalny bezwład mięśni. Stosować w przypadkach złamań kończyn i innych uszkodzeń, gdzie terapia wymaga bezruchu”.

Palce Berta zmiażdżyły pudełko.

– Ty cholerny, przebiegły draniu! – zaklął, czując jak chwytają go mdłości: ze zgrozy i nienawiści.

Nigdy nie chciał uwierzyć, że zło i okrucieństwo mogą płynąć nie tylko z zaślepienia i szaleństwa, ale również z rozumnego wyrachowania. To dlatego ten bydlak szpikował go co godzinę. Rozpostarł zgniecione opakowanie. Tak, nie mylił się. Czas reakcji środka wynosił godzinę.

– Co za wyrachowanie! – wyszeptał.

Olaf chce go przetrzymać w łóżku, tak długo, dopóki nie opracuje ich wspólnych badań i nie ogłosi jako swoich. Zabić go nie zabije, gdyż Centrum już wie o wypadku, pewnie odpowiednio malowniczo opisanym w relacji Olafa. Och, jakże oni tam muszą jęczeć z podziwu nad tym, jakim wspaniałym kolegą jest dla niego Olaf. Ba, może nazywają go przyjacielem. Bert zmełł w ustach przekleństwo, gdyż wiedział, że nie może poddać się nastrojom.

„Psiakrew – pomyślał. – Nie mogę pozwolić, aby mi dał następną dawkę!”

Przypuszczalnie Olaf tak spreparuje dane, że wyjdzie na to, że to on sam, dopiero w czasie choroby Berta, znalazł cząstkę Lambo. Jeszcze dzień – dwa leżenia, a później nikt Bertowi nie uwierzy. Rozejrzał się po pokoju. Obok, w zasięgu ręki, leżał na półce pozostawiony przez Olafa wstrzykacz. Bert patrzył przez chwilę na jego błyszczącą powierzchnię, zacieraając przy tym dłoń. Wyglądały na pełnosprawne. Dotknął czoła – było jakby chłodniejsze. Już po chwili ważył wstrzykacz w ręce. Wydawał się być odpowiednio ciężki. Na twarz Berta powoli wypluwał uśmiech.

Olaf przyszedł znów punktualnie co do minuty. Bert spokojnie obserwował, jak podchodzi do jego koi. Robił to o wiele wolniej niż zazwyczaj, lecz Bert zbyt był zdenerwowany, aby zwrócić na to większą uwagę.

– Cześć, Bert – zaczął Olaf rzucając mu trwożne spojrzenie. – Mam tu ten specyfik dla ciebie.

Mówiąc to, wyjmował z kieszeni fiolkę przezroczystego płynu.

„Ja też mam coś dla ciebie” – chciał powiedzieć Bert, ale tylko lekko ścisnął pod kocem wstrzykacz.

Olaf stał niepewnie, patrząc jakby z rozpaczą w jego twarz.

„Czyżby się domyślił, że ja wiem?” – przemknęło Bertowi przez głowę.

Ale nie miał czasu zastanowić się nad tym, gdyż usłyszał:

– To ci pewno pomoże. Działa od razu.

Gdy Olaf wykrzywił się w uśmiechu, Bert poczuł, że nienawidzi go głęboko.

– Gdzie wstrzykacz? – spytał Olaf.

Nareszcie, to było pytanie, na które Bert czekał. Teraz mógł działać według planu.

– Przepraszam cię – głos był spokojny, tak jak zaplanował. – Niechcący straciłem go ze stolika. Leży pod koją.

Mówiąc, patrzył pogodnie w niebieskie oczy Olafa.

– Ach, pod łóżkiem – powtórzył ten ni w pięć, ni w dziewięć i przyklęknął przy koi.

Gdy pochylił głowę, wstrzykacz już był uniesiony i ułamek sekundy później, w nią uderzył. Olaf jęknął, robiąc gest, jakby chciał wstać, ale zaraz zwałił się na podłogę. Bert wpatrywał się w niego, gotów ponowić uderzenie, ale tamten leżał nieruchomo. Bert odłożył wstrzykacz i odchylił szufladę, wyciągając z niej bandaż. Lecz dopiero, gdy próbował nim związać ręce Olafa, uświadomił sobie, że nie potrafi tego zrobić. Jego bezwładne nogi powodowały, że mógł tylko wychylać się z łóżka, a to było za mało. Zaklął szpetnie. Działając już w panice, popatrzył po podłodze, zastanawiając się, czy nie przetoczyć się na nią, gdy ujrzał leżącą fiolkę. Była cała, niestłuczona.

– W porządku – szepnął. – Masz, draniu, za swoje.

W podjęty ze stoliczka wstrzykacz wlał płyn i wstrzelił go w odkrytą przy upadku łydkę Olafa. Tak. Teraz szanse były równe. Nie pozostało mu nic innego, jak czekać. Nieświadomie zaczął obgryzać paznokcie.

★

Po kwadransie w nogach pojawiło się mrowienie, po pół godzinie mógł już nimi ruszać. Olaf ciągle leżał nieruchomo. Ostrożnie postawił stopy na podłodze i opierając się na rękach wstał. Chwiał się tylko lekko. Postanowił nie zakładać butów Olafa, mimo że w nich pewniej można się poruszać. Gdyby mógł, to z chęcią kopnąłby leżącą postać, ale wolał nie ryzykować. Zresztą i tak mu niezłe przyłożył. Lekko się zataczając dotarł do drzwi. Gdy je otworzył, zobaczył po drugiej stronie otwarte



wejsie do Centrali. Tak, to tam. Zgodnie z planem najpierw musiał zawiadomić Centrum, co to bydlę z nim wyprawiało. Rękoma odepchnął się od framugi i długim, płynnym skokiem dopadł upatrzonych drzwi, aby tam powtarzając manewr, znaleźć się przy pulpicie. Z ulgą wcisnął się w fotel. Już pierwszy rzut oka przekonał go, że coś jest nie w porządku. Czerwona wskazówka poziomu tlenu była prawie na zerze. Poczuł, jak włosy stają mu dęba na głowie. Wcisnął klawisz komputera bazy. Ekran co prawda zaświecił się, ale głośnik milczał. Nie słychać było potwierdzenia o gotowości do pracy. Bert spojrzał w lewo. Niestety, podejrzenie było prawdziwe. Wszystkie agregaty, poza jednym, były martwe. A i ten jeden już ledwo ciągnął. Bert odruchowo przygładził włosy, nic nie rozumiejąc. Wtem zdrętwiał, gdyż dopiero teraz uświadomił sobie, jakiego jeszcze elementu brakowało na tablicy. Był nim czerwony sygnalizator łączności kablowej z Centrum. Wymamrotał coś niewyraźnie i już miał biec cucić Olafa, kiedy ujrzał leżący na pulpicie dziennik stacji. Był otwarty na zapisanej do połowy stronie. Przeczuwając słowa, wziął go w ręce i zaczął czytać. Pismo należało do Olafa.

Doba 143 (nocna)

Informacja dla Centrum

Wczoraj o godzinie dziesiątej trzydzieści komputer zasygnalizował uszkodzenie trzeciego agregatu energetycznego. Aby je usunąć zmuszony byłem odłączyć zasilany z niego, kabel łączności z Centrum, o czym uprzedziłem Centrum odpowiednim meldunkiem. W meldunku zaznaczyłem, że naprawa może potrwać ponad dobę. O godzinie dziesiątej pięćdziesiąt przystąpiłem do naprawy agregatu za pomocą aparatu uniwersalnego ZOB-6. W tym czasie drugi członek załogi Bert Morgan, z racji pełnionego dyżuru, znajdował się w laboratorium. O godzinie jedenastej komputer zasygnalizował uszkodzenie agregatów drugiego i piątego, a minutę później, zanim zdążyłem przedsięwziąć środki zaradcze, eksplodował główny zbiornik tlenu. Wybuch zniszczył wszystkie agregaty energetyczne poza pierwszym, jak również część bazy w okoli-

cach laboratorium, w którym właśnie znajdował się Bert Morgan. Po wydostaniu go, stwierdziłem, że poza chwilowym szokiem nie poniósł żadnych innych obrażeń. Widząc jednak, że powietrza w zbiorniku awaryjnym starczy tylko na dobę i orientując się, że Centrum nie będzie interweniowało w tym czasie, uznałem, że nie będę informować Berta o sytuacji. Zaznaczam, że zdaję sobie sprawę, że moje postępowanie jest sprzeczne z Kartą, ale uważam, że nie ma sensu, abym teraz bliżej wyjaśniał mój pogląd na życie. Aby utrzymać Berta w nieświadomości, aplikowałem mu co godzinę „Tipexocord”. Gdy piszę te słowa, leży on sparaliżowany w pokoju medycznym. Obecnie po stwierdzeniu, że powietrze skończy się w ciągu godziny, a działanie agregatów nawet wcześniej i nie widząc najmniejszej szansy ratunku, podjąłem decyzję zaaplikowania Bertowi dziesięcioprocentowego roztworu „Te-xa”, co spowoduje, że zapadnie w głęboki sen, jeszcze przed chwilą, gdy zabraknie powietrza. Chcę dodać, że do tej pory nie udało mi się ustalić bezpośredniej przyczyny eksplozji zbiornika. Podejrzewam, że była nią awaria automatu ZOB-6, który mógł uszkodzić agregaty, jak i główny zbiornik. Kończąc chciałbym pozdrowić Ziemię, ode mnie i od Berta.

P.S. W laboratorium znajdziecie opracowanie ostatniego eksperymentu potwierdzającego teorię cząstek Lambo, będącą efektem naszych wspólnych badań

członek stacji „Herpus”
Olaf Bote

Dalej kartka była nie zapisana. Bert zrzucił dziennik na podłogę. Łzy ściekały mu po policzkach. Rozmazywał je palcami i gorzko łkał. Potem upadł na kolana, a później jeszcze niżej. Czotgając się starał pokonać paraliż własnego języka, ale zdobywał się jedynie na bełkot. Uderzył głową o framugę. Zatrzymał się, a później z całej siły uderzył w plastik głową, raz i jeszcze raz. Nienawidził tej ściany, tej stacji i siebie. Nienawidził i nic nie rozumiał. Chlipiąc podczołgał się do leżącego Olafa i zaczął mu tłumaczyć coś, czego pewnie sam nie rozumiał. Światła w bazie zaczynały mrugać.